

Stanisław Mikke

Naprawdę nic śmiesznego

Palestra 40/3-4(459-460), 106-108

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



STANISŁAW MIKKE

Naprawdę nic śmiesznego

Rok temu telewizja emitowała dwunastoodcinkowy serial pt. „Zespół Adwokacki” w reżyserii Andrzeja Kotkowskiego. Jeśli ktoś powiedziałby, że był to film słaby, zgrzeszyłby nadmierną kurtuazją wobec twórców tego obrazu. Już pierwszy odcinek-pilot nadany na początku 1994 r. źle rokował, o czym pisałem w „Palestrze” 3-4/94 w felietonie pt. „Ale kino!” Kolejne odcinki potwierdziły tę wstępną diagnozę. Później Wojciech Bartnicki krytykując serial na łamach „Prawa i Życia” napisał, że „takich telewizyjno-filmowych wydarzeń nie można bagatelizować. Masowy odbiorca ma bowiem skłonność do uogólnień. Tak rodzą się fałszywe stereotypy, z którymi walka bywa uciążliwa i niezrządco kończy się porażką”. (PiŻ z 1 kwietnia 1995 r.).

Nikogo nie trzeba przekonywać, że nieprawdziwe wyobrażenia w wypadku wymiaru sprawiedliwości przynoszą poważne szkody w społecznej świadomości. Jeśli jednak „Zespół Adwokacki”, pokazywany zresztą w porze niskiej oglądalności, kreował zafałszowany obraz sądowego życia i szkodził nieco wizerunkowi sądu i adwokatów, to cóż dopiero powiedzieć o filmie pt. „Tato” w reżyserii Macieja Ślesickiego, nagrodzonym na ostatnim festiwalu w Gdyni niejedną nagrodą.

W największym skrócie – film opowiada o historii małej, utalentowanej muzycznie dziewczynki i rozwodzącej się pary. Sąd podczas rozprawy rozwodowej musi zdecydować, któremu z rodziców powierzyć dziecko. I decyduje.

Nawet ci, którzy filmu nie oglądali

i o nim czegoś więcej nie słyszeli, zapewne już wiedzą, w czym rzecz i jaki był sądowy epilog walki rodziców o dziecko.

Sfeminizowane ponad wszelką miarę sądy rodzinne są od dłuższego czasu obiektem ostrej krytyki. W ostatnich kilku latach przybrała ona na sile. Na tej fali powstało Stowarzyszenie Obrony Praw Ojca słynące z niewybrednych ataków na sądy rodzinne i personalnie na niektórych sędziów. Prasę obiegła swego czasu wiadomość, że krewki członek tego Stowarzyszenia rzucił się podczas rozprawy na warszawskiego sędziego-kobietę. Natomiast niedawno na budynku stołecznych sądów pojawił się osobliwy nekrolog:

Zarząd Główny Stowarzyszenia Obrony Praw Ojca wyraża głęboki smutek z powodu śmierci naszego kolegi Jerzego ... najtroskliwszego ojca, doradcy i mecenasa SOPO, pracownika NIK, któremu żona i wymiar sprawiedliwości do ostatnich chwil Jego życia w ciężkiej chorobie uniemożliwiły być ojcem i cieszyć się własnym synem Przemkiem.

Jerzy! Nie znościeś kłamstw i oszustw. Nie zapomnimy o Twojej krzywdzie.

Ta sama treść, w dużej ramce, ukazała się w dzienniku „Rzeczpospolita”.

Zawodowi bywalcy sal sądowych, zwłaszcza ci, którzy reprezentują strony w sprawach rodzinnych wiedzą, jak rzeczy stoją. A mówiąc krótko – stoją źle. Nie zawsze, nie wszędzie, ale w tak wielu wypadkach zdarzają się, mówiąc oględnie, daleko idące nieprawidłowości, że musi to budzić niepokój. I wywoływać przeróżne reakcje. Jedną z takich reakcji, to właśnie film pt. „Tato”. Reakcja patologiczna. Zgodnie ze znaną prawidłowością, że jakieś skrzywienie

w życiu społecznym rodzi drugie, że odpowiedzią na patologię jest inna, często nie mniej szkodliwa i o większym jeszcze zasięgu.

Film natychmiast spotkał się, jeśli tak można powiedzieć, z żywym oddźwiękiem. Oto rozwodzająca się ostatnio młoda, ładna kobieta (acz nie alkoholiczka, nie narkomanka, to lekceważąca obowiązki macierzyńskie w sposób bezprzykładny) dopytywała się swego męża, czy już widział film pt. „Tato”. Radziła, by jak najszybciej obejrzał i wybił sobie raz na zawsze z głowy, aby sąd „dał” mu kilkuletnie dziecko. Do sądu zaś (w damskim składzie) zwróciła się w konwencji tego filmu: „Wysoki sędzie, przecież wszystkie jesteście kobietami ...” By nie pozostawiać rzeczy niedopowiedzianej – ten osobliwy apel w realnym świecie nie odniósł skutku, sąd ustalił miejsce zamieszkania dziewczynki przy ojcu.

Oglądając „Tate” można odnieść wrażenie, że za jego produkcją stoją ekstremiści ze Stowarzyszenia Obrony Praw Ojca, a napisanie scenariusza (niech mi wybaczy reżyser i scenarzysta w jednej osobie, ale naprawdę nie mogą inaczej) zlecieli komuś, kto coś tam w filmie potrafi zrobić, ale nie odróżnia, z czego wypada, a z czego nie przystoi śmiać się człowiekowi myślącemu.

Jest bowiem coś w największym stopniu niestosownego w sposobie potraktowania tego tematu – losu dziecka psychicznie chorej, niebezpiecznej dla otoczenia matki i niezrównoważonego psychicznie ojca. Tragedię pogłębia jeszcze dość skuteczne roszczenie sobie praw do dziecka przez psychopatyczną babkę, która w jednej z ostatnich scen filmu wypada z wysokiego piętra z... miotłą!

Czym jest film „Tato”? Dramatem

psychologiczno-obyczajowym, pastiszem, czy farsą z niewyszukanymi, bzdurnymi gagami, które u części publiczności wywołują rechot, a u innych widzów po prostu zażenowanie?

Opisując tragedię rodzinną na coś, jak się wydaje, należało się zdecydować. Tymczasem twórca filmu raz usiłuje rozbawić widza (np. w ten sposób, że policjant do policjantki podczas interwencji krzyczy: „Drygalska, rusz dupę, bo inaczej będziesz czyściła kible przez tydzień”), aby wkrótce epatować publiczność brutalnymi krwawymi scenami – kатовaniem ojca przez detektywów nasłanych przez teściową, dźganiem nożem przez niepoczytalną żonę przyjaciela męża, a w końcu topieniem w wannie, na oczach dziecka, jej matki przez doprowadzonego do szału tytułowego tatę. Ku uciesze niektórych na widowni, utopiona matka jednak ożywa trzymając nóż w ręku, by w następnej scenie zostać wyprowadzoną w kaftanie bezpieczeństwa.

Nie, naprawdę nie kierują mną emocje po obejrzeniu scen sądowych z udziałem adwokatów – cynicznych kretyków. Krystyna Janda, jakby nieco normalniejsza pani mecenas, ma na sali togę adwokacką narzuconą na ramiona, bo tak zapewne lepiej do twarzy, a do sądu zwraca się siedząc. Adwokat strony przeciwnej zachowuje się podobnie wobec sądu, a w pewnej chwili, gdy zostaje uderzony w głowę przez swoją klientkę

czymś na kształt skorowidza (!), mówi o niej „głupia dziwka”, na tyle głośno, że sąd to słyszy. A część kinowej publiki śmieje się do rozpuku. Adwokaci udrapowani na błaznów kłócą się ze sobą na sali ignorując sądy, którym w pierwszej i drugiej instancji przewodniczą skończone idiotki i chamki; jedna z nich pyta wzruszonego, zapłakanego ojca (Bogusława Linde), jak gotuje się zupę pomidorową, by wykazać jego niezdolność do zajmowania się córką, która oczywiście musi być w sądzie i czekać na korytarzu. Wszystko to ma się nijak do procedury i rzeczywistości sądowej, choćby w najgorszym wydaniu. Już więc nie zaskakuje, że w kolejnej scenie Janda, ze znaną z różnych jej wcielen ekspresją mówi dziennikarzom (licznie zgromadzonym na sali podczas rozprawy rozwodowej; jest i kamera), że wyrok przyznający dziecko babce jest skandalem i idiotycznym rozstrzygnięciem.

Lista bredni i jawnych fałszów jest znacznie dłuższa. Gdy film skończył się amerykańskim, bo jakże inaczej, happy endem, szukałem w długim wykazie współtwórców filmu nazwiska konsultanta ds. prawnych. Były, rzecz jasna, personalia różnych, ważnych osób, m.in. sekretarki zdjęć, sekretarki planu a nawet wózkarza. Znalazłem konsultanta muzycznego. Prawnego nie było. Chwała Bogu, przynajmniej żaden prawnik nie skompromitował się.